

CENA 10 gr./pf.

ZESZYT № 3.

BIBLIOTEKA

10 groszy
pfenigów

NOWOŚCI

C

Z

Y

T

A

J

STEFANIA
BOJARSKA

TAJEMNICE

szkółek wiejskich
w Królestwie



T-wo

„CZYTAJ!”

SZERZ. OŚW. DRUK. SŁOW.
BRAOKA 17

C

Z

Y

T

A

J

WARSZAWA

1916 ROK.

„Biblioteka Nowości“ Towarzystwa „Czytaj” jest obliczona wyłącznie na ludzi dobrej woli, dla których sprawy oświaty nie są obojętne. Oni złożą kilkogroszowe datki na cel oświecenia szerokich mas, przeczytają broszurkę, a uznawszy jej treść za godną szerzenia, postarają się udostępnić słowo drukowane tym, których na grosze nawet nie stać. W tym celu wystarczy broszurkę darować lub też zostawić w miejscu ludnem; w tramwaju, pociągu, sklepie, teatrze, kinematografie... Tak oto każdy obywatel stać się może nauczycielem, budowniczym lepszej, świadomej przyszłości naszej zbiorowości.

Naród Polski liczy przeszło dwadzieścia milionów ludzi. Odsetek oświeconych jest znikomo mały. Wieluż zatem trzeba byłoby nauczycieli na wykształcenie tak wielkich mas, by się poczuły jednolitą zbiorowością?

Ale temu zadaniu podoła broszurka, gdy ją, jak ziarno, posiać potrafią ręce rozumnych obywateli.

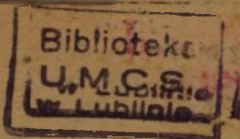
I nie sarkajcie na delegatów, niosących drukowane słowo, których nieumiejętność nie może być ważona wobec ich zasługi społecznej i dobrej woli. Z tych delegatów utworzy się legion oświepicieli, którzy przebudzą i zjednoczą Naród, z rąk co rąk podając wici — książeczki.



1000172178

A-12035
„CZYTAJ!”

№ 17



3135118

3135118

DO CZYTELNIKA.

Bierz, czytaj i pamiętaj, coś przeczytał w tej książce, abys mógł opowiedzieć innym, zwłaszcza tym, którzy czytać nie umieją.

Banach

Tajemnice szkółek wiejskich w Królestwie.

Od paru miesięcy mieszkam na tej wsi, w powiecie pułuskim. Zyskuję sobie coraz większe zaufanie gromady wioskowej; wreszcie, gdy z nadejściem jesieni wyrażam ochotę uczenia pewnej gromadki dzieci, odpowiadają mi, że to się już robi od wielu tygodni.

Naturalnie, spieszę czempredzej obejrzeć pomieszczenie tej tajnej wiejskiej szkółki. Ukryta jest znakomicie ta wiejska uczelnia, urągająca zuchwale najelementarniejszym wymaganiom higienicznym.

Ot taka sobie, opuszczona przez dotychczasowych gospodarzy, stara chata.

Jej niedawni mieszkańcy pobudowali się gdzieindziej na dokupionym gruncie, a tę chatę starodawną, pamiętającą dawną pańszczyznianą chłopską Golgotę, niską, ciemną, duszną, przegniłą od wilgoci, grzybem przeżartą, wrosłą w ziemię, połamaną, skurczoną, jak ta wiejska proszalna babka—opuścili bez żalu.

Zaiste, wielką i uznaną jest chytrość chłop-

K. 368 | 56 | 92

Kult. 2.

ska, a znana—z dziejów Chełmszczyzny zdolność i pomysłowość konspiracyjna naszego ludu. To też nie dziwi mnie bynajmniej, że tę opuszczoną chatę wiejską starszyzna na poufnej naradzie oddała do rozporządzenia przygodnemu nauczycielowi, by w tej ciemnej norze, grożącej zawaleniem, niecił oświatę w głowach dziatwy wiejskiej. I mogli spać spokojnie po takim rozporządzeniu ojcowie tej dziatwy, bo doprawdy w takiej chacie nawet najdomyslniejszy żandarm nie przeczuje istnienia szkółki wiejskiej, takiej, z której dzieciiska wysuwają się ostrożnie, spocone jak myszy, z tępym wyrazem znużenia w zamglonych oczach.

Na innej sąsiedniej wsi w tymże samym powiecie, w chacie zupełnie już porządnej, jeno mało dostępnej ze względu na fatalną w tej części wsi drogę, uczy się także pokryjomu dziatwa—ale od kogo?

Zagospodarował się tam na zimowe miesiące wiejski zły duch — w postaci pokątnego doradcy.

Sprytny, bestja układny niby lis człeczyna.

Umie on wszystkim się przypodobać, nikomu nie narazić, dzieciom nawet karmelki, a czasem to i kajet za swoje pieniądze kupi, ale cóż?

Mądrzejsi ludzie, na to wszystko rozważnem okiem patrząc, powiadają: „że ten h a d w o k a t, w nauczyciela na zimę przebrany, mało wiera dzieciaków uczy, bo jeno ze starszymi po kątach ciągle uradza“.

No i nie dziwota, po to on przecie tu i przyszedł, aby zimę jako tako przebiecować, dla pozoru jeno ucząc gospodarskie dzieci, a w rzeczy samej chodzi mu jeno o to, aby grunt na onej wsi wybadać, poznać sąsiedzkie urazy i choć paru najzamożniejszych gospodarzy do długich procesów pobudzić.

Tu i owdzie inaczej się dzieje: oto pod ma-

lemi miasteczkami, w których mieszkają wiejscy cieśle i murarze, taki rzemieślnik na zimę w pobliższej wsi na nauczyciela rai się gospodarzom i najczęściej zostaje nim.

Znam takich rzemieślników,—był między nimi i szewc, gorący patrijota, znawca żywota majstra Jana Kilińskiego i niestrudzony jego czynów opowiadacz, — jednym słowem, apostołskiego ducha człek, pokorny, cichy, a twardy w rzeczy samej i z uporem dobre ziarno elementarnej wiedzy i nauki Chrystusowej krzewiący.

Ale pamiętam w tej galerji typów wiejskich światłonośców przygodnych, sezonowych i murarza-zawadżkę, nałogowego pijacznę i przeklętnika, który w pięść jeno wierzył.

Na Podlasiu tu i owdzie uczy na wsi dziadek, lub babka proszalna pół—ślepi, pół głusi ludzie.

Ale i takich „nauczycieli“ tropiła policja i do więzienia zamykała.

Czasem trafił się gospodarz, a nawet i poniektóra gospodyni na krzewienie oświaty czuła i ci łamali się chlebem posiadanej umiejętności czytania i pisania z ciemniejszymi sąsiady.

W ostatnich latach duże zasługi w tym kierunku położyli uczniowie i uczennice szkół gospodarczych, nieźle do tego przygotowani w swych szkołach, a jak wydajną była ta ich praca, dość przypomnieć, że statystyka prywatna dyrektora jednej z takich szkół wykazała, że wyszli z tej uczelni uczniowie w liczbie 35,—pierwszej zimy, zaraz tak gorliwie jęli się u siebie pracy oświatowej, że nauczyli 600 dzieci i dorosłych czytać i pisać.

Po tych ogólnych uwagach co do sprawy mało jeszcze zbadanej, jak różnorodne było przygotowanie ludzi, zwalczających u nas po wsiach analfabetyzm, przytoczę parę wypadków, w których to nauczanie odbywało się w pomyślniejszych

warunkach, przez lepiej do takiej pracy przygotowane siły.

A więc wieś lubelska, z tego kąta między Markuszewem, Kurowem, a Puławami w dniach ostatniej rewolucji. Lud tam śmiały i otrzaskany ze śledztwami i rewizjami. Nauczanie tajne prowadzi tam działaczka ludowa, niby to pisarka warszawska, układająca książkę o chłopach, więc dla poznania ich życia nie tylko przez lato dla odpoczynku, ale i przez zimę—dla studjów na tej gospodarskiej wsi mieszkająca.

Pomieszczenie na tę uczelni, nie za świetne, ale znośne, daje urzędnik wioskowy, bo sołtys.

Odbywa się nauka w izbie, w której dla ciepła naniesiono pod jedną z przewiewnych ścian trochę plew i zarzucono je snopkami prostej, wymłóconej słomy. Nauka odbywa się w najlepszym, nauczycielka opowiada o dziejach Polski za Kazimierza Wielkiego, pokazuje jego wizerunek.

Naraz, wchodzi pięcioletni dzieciak, brat jednego z uczniów i powiada flegmatycznie:—„Strażniki przyjechały, idą do sołtysa”.

Zanim nauczycielka zdobyła się na jakieś rozporządzenie, dzieci szybko, a sprawnie książki i kajety pochowały w plewy pod słomę. Widząc to „pani” kazała starszym dzieciom zsunąć stoły, rozstawić ławki i zaczęto się na środku izby bawić w ptaszka i inne gry, chóralnym śpiewem przeplatane.

— Co to za gwar taki u Was, pytał wachmistrz sołtysa w sąsiedniej izbie.

— A to my mamy wolną izbę po letnikach, to się ta czasem dzieci w niej bawią, gdy plucha na dworze, jak dziś — na ten przykład — odpowiedział sołtys obojętnie i zagadał o czym innym.

Strażnikom jednak ten gwar dziecięcych głosów wydał się mocno podejrząny, bo w parę dni

potem do owej przygodnej nauczycielki zgłosiła się z sąsiedniego miasteczka agentka miejscowej policji, z zawodu prostytutka, z serdeczną, a poufną prośbą o wyszukanie jej miejsca nauczycielki w tajnej wiejskiej szkółce.

Otrzymała odpowiedź odmowną, rzecz prosta, ale potem szkółkę tę z lokalu wiejskiego urzędnika przeniesiono do prywatnego mieszkania owej warszawskiej literatki.

Po roku 1906 dozór nad tajnem nauczaniem po wsiach zelżał nieco. Skorzystali natychmiast z tego usposobienia władz włościanie z pewnej gminy w lubelskiem i tak się do tego zabrali.

Chcieli prowadzić u siebie przez zimę i jesień do połowy wiosny porządną, systematyczną naukę, przez nauczyciela do takiej pracy przygotowanego. Umówili się z nim co do warunków, zebrali sumę, znaleźli odpowiednie na szkółkę taką pomieszczenie. Chodziło im tylko o zabezpieczenie się ze strony policji.

Jak tu zrobić, żeby w tem dziele oświatowem policja nie przeszkadzała?

Wiedzieli z doświadczenia tyloletniego, że strażnika nie trudno poskromić, że można go ugłaskać datkiem w pieniądzech, albo w naturze, ale wiadomo im było, że za tajnem nauczaniem po wsiach węższą nie tylko jawne carskie sługi w mundurach żandarmów i strażników...

Całe lato radzili poufnie stateczni gospodarze, jakby tu tę tajną zimową szkołę ubezpieczyć, wreszcie jeden z gospodarzy wpadł na pomysł, żeby wybrać 2 — 3 delegatów od gromady i pomówić o tym projekcie otwarcie z naczelnikiem, który, choć Moskał, był człek nienajgorszy i na łapówki nie chciwy.

Gdy się udało przekonać wszystkich o potrzebie wysłania do naczelnika takiej delegacji, wy-

znaczeni dla spełnienia tej misji gospodarze wybrali się do biura powiatowego i, ubezpieczwszy się wpięrow co do poufnej narady z samym panem naczelnikiem, długo kołując i rozważnie, pomaleńku cedząc słowa, a zbytnio swych myśli nie odsłaniając, rzecz całą przedstawili.

Tok ich rozumowań był mniej więcej taki:

— Naród u nas we wsi ciemny; do bitki, procesów, pijaństwa, kradzieży i rozpusty jeno zdolny, a wszystko to przez to, że szkół niema.

— Możecie się o szkołę zacząć starać — ja was poprę, rzucił łaskawie naczelnik.

— Dziękujemy panu naczelnikowi za dobre słowo, ale to dla nas zawcześnie jeszcze. Ludzie u nas za głupi jeszcze na to, aby „akuratnej” rządowej szkoły im się już chciało; boją się kosztu i większych podatków. A tymczasem dzieciśka nam dziczeją i na bandytów rosną, potem tylko policja, a czasem to i wojsko nawet ma z nimi kłopot, a spokojni uczciwi ludzie niepokój i umordowanie.

— To prawda—tak to i jest po wsiach, przytaknął zainteresowany tym wstępem naczelnik, ale jaką wy, „muzyki“, widzicie na to radę?

— My radę na te bolączki już znaleźli w naszych ciemnych głowach, widzi nam się ona bardzo skuteczna, a teraz przyszliśmy do pana naczelnika, niby te dzieci osierocone, do ojca przybranego z prośbą aby nam przeszkód nie stawiał, a my już naszym słowem gospodarskiem ręczymy za naszą wieś, że odtąd ani pan naczelnik, ani strażniki nie będą miały z nami nijakiego niepokoju ani turbacji.

Urzędnik na takie solenne, choć nieco ogólnikowe zapewnienie prawomyślnego trybu życia,—uśmiechnął się łaskawie i odezwał zachęcająco:

— Skoro takie dobre macie zamiary—opowia-

dajcież śmiało i dokumentnie, coście tam wymądrzyli, mam czasu dosyć dzisiaj—posłucham chętnie.

Rozsiadł się wygodnie w miękkim fotelu, zapalił świeżego papierosa i zwrócił do nich twarz przyjaźnie uśmiechniętą.

Ośmieleni już na dobre delegaci gromady przedstawili mu szczegółowo swój plan tajnego nauczania, wyliczyli dokładnie liczbę dzieci w wieku szkolnym i starszych analfabetów cyfrę dużą, wymienili wysokość opadatkowania z morgi na nauczyciela i inne koszty z puszczeniem takiej szkoły w ruch związane.

Urzędnik słuchał uważnie, jeszcze uważniej patrzył w spokojne zazwyczaj, teraz ożywione i mieniające się rysy chłopskie—patrzył na nich niemal, chwilami, jakby z błyskiem rozrzewnienia w oczach.

— A onże nauczyciel, cóż to za jeden? może to jeno taki narodowiec i oświatowy działacz po wierzchu, a socjalista we środku.

— Taki też nauczyłyby wasze dzieci czytać, ale i bezbożne jadowite zasady w głowyby im nakładł. Hm, cóż wy na to, czy wy o tem też pomyśleli, panowie gospodarze.

— My długo szukali takiego człowieka, któremu ze spokojnem sumieniem nasze dzieci powierzyć byśmy mogli. A że kto puka, temu otwierają, a kto szuka, znajduje, więc i my znaleźli. Ten upatrzonego nauczyciela dla naszych dzieci, to człek spokojny, wiarę naszą szanuje, ze słowem starszych liczy się, jemu nie żadna polityka, a oświata i książka ino w głowie.

— My go znamy dobrze i oddawna, my za jego postęпки panu naczelnikowi ręczymy całym swoim majątkiem.

— A czegoż wy odemnie chcecie, bo jeszcze dobrze nie rozumiem?

— Żeby pan naczelnik przez całą te zimę udawał, że nic nie wie, że na naszej wsi, a i po innych wsiach w naszej gminie ktoś tam wiejskie dzieciaki na książce uczy, no, i żeby pan naczelnik swoim starszym urzędnikom przekazał, żeby oni mieli oczy, niewidzące tej naszej roboty i uszy nie słyszające niby o tem.

— A wiecie wy, czem to pachnie? Co wy mnie tutaj radzicie, zachnął się dygnitarz powiatowy.

— Chłopi przybrali miny niewiniętek i pokornie jęli się usprawiedliwiać.

— Co my głupie prostaki możemy wiedzieć. My wiemy jeno, że pan naczelnik, człowiek sprawiedliwy i spokój lubiący, my też byśmy radzi na pracowitych i spokojnych ludzi wychować nasze dzieci, a jakto to można zrobić bez nauki?

— Nam się nieraz krwawi ojcowskie serce na widok, jak nasze dzieci rosną niby zwierzęta dzikie, boć prawdę rzekłszy, lepszy jest po wsiach starunek o bydłę domowe niż o dzieciaka. Dyć pan naczelnik wie, jakie zbrodnie bywają po wsiach i jakie z tego kłopoty ma sam, niby, jako gospodarz całego powiatu, a wszystko przez tę ciemnotę.

— Wiem, wiem i dość mam tych kryminałów, tych bijatyk i zabójstw po weselach, tych ciągłych kradzieży, rewizji, śledztw i protokołów — już mi to dojadło do żywego.

— A więc dobrze, robię z wami układ, zdaje porządek na waszej wsi w wasze ręce, wy mi za to, co się tam dzać będzie, waszemi głowami odpowiecie, ale za to ja nic nie wiem, co wy będziecie od jesieni do połowy wiosny z waszemi dziećmi robili. To mnie od dnia dzisiejszego nic nie obchodzi—rozumiecie.

— Co nie mamy rozumieć?—rozumiewa każde sło-wo, tylko byśmy chcieli jeszcze wiedzieć wedle strażników...

— Co do strażników, to już wasza rzecz, wy się z nimi rozmówcie i postarajcie, żeby oni do was przez całą zimę żadnego interesu nie mieli i nic takiego nie zobaczyli, o czymby mnie raport zdać powinni. Ja wam daję „czestne słowo“, że zostawię was w spokoju, ale tylko póty, póki jakiego donosu o waszych sprawkach nie dostanę od moich podwładnych.

Chłopi niczego więcej nie chcieli.

Pokłonili się nisko panu naczelnikowi i Bogu go polecając, wyszli z kancelarji, pełni otuchy. Porozumienia ze strażnikami chciwymi na łapówki byli pewni.

W rezultacie, ten charakterystyczny dla naszych przedwojennych stosunków układ z władzami, dał dobre wyniki. Na tej podstawie prowadzono tam systematyczną naukę w paru wsiach i za milczącym przyzwoleniem naczelnika powiatu, bezinteresownym zupełnie, a za opłaconem i to dość hojnie, jak na chłopskie stosunki milczącym przyzwoleniem strażników.

.....

Solidną, gruntowną pracę oświatową i kulturalną w duchu narodowym, pod pokrywką krańcowej lojalności wobec władzy państwowej, prowadził znów w paru parafjach na pograniczu Królestwa i Galicji pewien prowincjonalny proboszcz — człowiek wielkiej odwagi, niepospolity, samorodny geniusz organizatorski.

Ten duchowny katolicki wystarał się przez osoby wpływowe w Petersburgu, dobrze u dworu widziane, o pozwolenie otwierania po wsiach w swej parafji i po parafjach sąsiednich sal zajęć imienia cesarzowej Marji.

Instytucja ta, mająca główny zarząd w Peter-

sburgu, była zupełnie niezawisłą od miejscowych władz, tak policyjnych, jak i specjalnie oświatowych.

Ale na tem właśnie dla działacza polskiego polegała cała jej wartość.

Kontrola była daleka i łagodna, niemal zaświatowa, imię wysokiej protektorki było pancerzem ochronnym wobec władz miejscowych, ustawa szeroka i rozciągliwa, nadawała się doskonale do wyzyskania jej w kierunku działalności oświatowej i kulturalnej, wszechstronnie pojętej.

Oparłszy się o tę ustawę rosyjskiej instytucji, polski działacz oświatowy z pogranicza zrobił z niej w praktyce coś w rodzaju małego, na obszarze kilku parafji działającego chłopskiego ministerjum oświaty.

Dzięki tej na pół zakonspirowanej działalności oświatowej, dziesiątki wsi pokryły się siecią szkół dla dzieci i kursów wieczornych dla analfabetów dorosłych. Wśród ludu wiejskiego zostało tam umiejętnie rozbudzone poczucie potrzeby ofiarności powszechnej na ten cel.

Potworzono Rady Opiekuńcze z włościan szkolnych wizytatorów, z pośród najświetlejszych gospodarzy, a organizacja ta odznaczała się wielką sprężystością i sprawnością.

Podatki dobrowolne od włościan i różne świadczenia w naturze na rzecz tej lokalnej organizacji oświatowej wpływały z wielką akuracją, w oznaczonym z góry terminie.

I tak pod szyldem instytucji, wrogiej interesom narodowym polskim, krzesano tam światło wśród małopolskiego z natury inteligentnego ludu.

Kres istnienia tej niezwyklej, ideą wallenrodyzmu posiłkującej się organizacji oświatowej, położył odruch zbytnej brawury ze strony jej twórcy.

Było tak:

Zbliżał się dzień stułetniej rocznicy ofiarnej

śmierci księcia Józefa Poniatowskiego. Miłością gorącą dla tego bohatera, miłującego honor ojczyzny nadewszystko, pały w tym zakątku Polski wszystkie serca. Gotowano się długo i godnie na przyjęcie uroczystego dnia.— Miano też skorzystać z bliskości granicy i zrobić tłumną wycieczkę z dziećmi: uczniami i uczenicami szkół wiejskich do Krakowa, by wziąć udział w uroczystym obchodzie ku uczczeniu bohatera z pod Raszyna, tam się odbyć mającym.— Chciano wystąpić, jak się patrzy, „po gospodarsku”. Ojcowie sięgnęli ręką nieskąpą po grosiwo, panie instruktorki z sal zajęć cesarskiej rosyjskiej nie pożałowały nocy nieprzespanych i dziatwę na on dzień, 19 października 1913 roku, przybrano strojnje a barwnie—wiadomo przecie—po krakowsku.

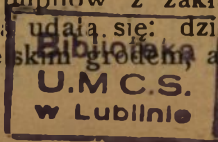
Wystąpili więc chłopcy w sukmanach białych z rogatywkami czerwonymi, z pawiami piórami i dziewczęta w krasnych spódniczkach, chustach a gorsetach.

Tak przybrana dziatwa szkolna i starsza młodzież z kursów wieczornych, wybrana do drogi grupami, sprawnie poruszającemi się w takt marsza pochodowego, pod wodzą kierowników i kierowniczek, ze śpiewem na ustach, wyruszyła na punkt zborny, naznaczony w pobliżu granicznego kordonu.

Gdy się te wszystkie grupy złączyły, urosła z tego gromada wielka.

I nagle mignęła w przelocie w oczach zdumionych władz rosyjskich siła nieznaną im dotąd, dziwnie polskie mająca oblicze, mimo pokostu petersburskiej instytucji i urzędowych pieczęci na dokumentach, okazywanych władzom.

Wycieczka pupilów z zakładów cesarskiej Marji do Krakowa udała się: dzieci wróciły oczarowane podwawelskim grodem, ale wkrótce potem



władze miejscowe zaczęły baczniejszą uwagę na działalność sal zajęć cesarzowej wdowy zwracać.

Zrobione tu i owdzie w tych uczelniach rewizje wykazały na mocy znalezionej rzeczowego materiału (książki, ćwiczenia uczniów, śpiewniki, emblematy i obrazy) nieprawomyślny charakter tych szkół i spowodowały ich zamknięcie.

Organizator nie poddał się tej decyzji władz miejscowych bez walki, zażądał śmiało przysłania specjalnych rewidentów—urzędników ze stolicy imperjum. Postarał się o poparcie swych żądań przez wysokie figury w Petersburgu. Ale zanim rzecz się wyjaśniła ostatecznie, bez długiej zwłoki pomysły oświatowiec w sutannie prowadzi dalej nauczanie dziatwy w tej okolicy metodą czysto konspiracyjną, co przy dużem już wyrobieniu organizacyjnem ludu wiejskiego w tym zakątku Małopolski udało mu się przeprowadzić z zupełnem powodzeniem.

Ostatecznie ta wielce charakterystyczna sprawa oddana została przez Zarząd Główny sal zajęć cesarzowej Marji do rozpatrzenia jakiemuś senatorowi, który nie widział powodu śpieszyć się zbytnio z jej załatwieniem.

Wreszcie wybuchła wojna i siłą rzeczy dawne przewinienia księdza-oświatowca straciły charakter przestępstwa politycznego wobec rządu, nabierając cech zasługi rzetelnej wobec Narodu.

We wsi lubelskiej, pod miasteczkiem Kurowem położonej, żyła przed laty kilkunastu gospodyni dość zamożna. Była to kobieta o szlachetniejszych porywach, niż jej sąsiadki.

Pewnego razu poszła do spowiedzi i przed księdzem jąta wyrzekać, że ona biedna i ciemna nic dla polepszenia doli swej wioskowej gromady zrobić nie może.

— Jakto nie? Ej że, przesadzasz, moje dziecko, i rozżalasz się jeno niepotrzebnie. Gdybyś naprawdę chciała, mogłabyś tych swoich bliźnich a twoich sąsiadów z ciemnoty na światło wyprowadzić.

— A to jakim sposobem?—pyta gospodyni.

— Wszak umiesz czytać, pisać, rachować?

— Umiem, proszę dobrodzieja; toć ojciec i pan organista przez trzy zimy mnie tego uczyli.

— A więc naucz tego wszystkiego, co sama umiesz, tych wszystkich w twojej wsi, którzy tego nie umieją, a zrobisz dużo, bardzo dużo dobrego dla swych bliźnich.

Kobieta przyjęła tę radę duchownego gorącem sercem i odtąd przez jesienne i zimowe wieczory całe lata dom jej był szkołą początkową na tej wsi.

Razu jednego miała takie niezwykle zdarzenie.

Żydek z sąsiedniego miasteczka, blady wyrostek, przychodził do niej po mleko i jaja i widząc ową naukę, z wielką nieśmiałością zagadnął gospodynię:

— Mam do was prośbę, ale boję się powiedzieć.

— Mów śmiało, nie bój się. Potrzeba ci czego?—pytała go poczęła dobrotliwie, patrząc ciekawie na zakłopotanego chłopaka.

— Gospodyni, mnie bardzo się chce tej waszej polskiej nauki, jabym bardzo chciał uczyć się pisać po waszemu i czytać polskie książki.

— Ano, jak tak już chcesz koniecznie, to przynieś pozwolenie od ojca i przychodź z innymi; uczę drugich, mogę uczyć i ciebie. Przecież i ty na polskiej ziemi zrodzony i polski chleb jesz, to nawet poczciwie, że się chcesz polskiej mowy i pisma nauczyć.

Na drugi dzień chłopak żydowski przyniósł

pozwolenie od ojca, kupca zbożowego z sąsiedniego miasteczka, i wszedł do gromady uczniów. Gospodyni owa uczyła go chętnie, bo sprytny był bardzo i pojmował w lot to, co mu tłumaczyła, a czasem to nieraz pomagał jej nawet uczyć innych.

W pewnej wsi w radomskim, wiejski chłopiec, wyrostek, nauczony pisać i czytać przez panienkę ze dworu, przejęty potrzebą uczenia drugich, ciemniejszych od niego, w czasie letniej pasionki u bydła takie ciekawerzeczy dzieciom wiejskim opowiadać począł, że te obrały go sobie na jesienne i zimowe miesiące za swojego nauczyciela.

Chłopiec, czternastolatek, zdolny bardzo i nad wiek poważny, zupełnie dobrze wywiązywał się ze swego zadania, a w trudniejszych chwilach biegał o poradę, książki i podręczniki do dworu.

Dzieci słuchały swego młodziutkiego profesora z wyboru i dużo korzystały. Aliści zły człowiek, mający urazę do jego rodziców, doniósł o tej szkółce, przez dzieci same powołanej do życia, władzom.

Strażnicy podpatrzyli chwilę właściwą i zesłali młodego nauczyciela, tłumaczącego uczniom zasłuchanym, co to jest góra Wawel i co tam dzisiaj za pamiątki w katedrze, na tem wzgórzu stojącej, oglądać można.

Profesor miał pod ręką książkę z pięknymi obrazkami i pokazywał ją, tłumacząc znaczenie oglądanych chciwie przez dziatwę rycin.

A byli tak zasłuchani w tę opowieść o dawnych dziejach Matki-Ziemi, a profesor tak pochłonięty tłumaczeniem, że nie zauważyli wejścia ludzi obcych w mundurach rządowych.

Coprawda i tym ludziom było zrazu jakoś „nieswojo“ brać się do zwykłego „dzieła“ wobec

tego drobiazgu ludzkiego, ale służba nie „družba“, a czasem gorszą od sobaki wściekłej bywa, więc i ludzie w carskich mundurach przystąpili, choć z ociąganiem się do czynienia swej powinności i małego Janka do więzienia zabrali.

Rodziców jego nie było w domu, a i wieś cała wyludniona była ze starszych z racji wielkiego, dorocznego jarmarku.

Dzieci płaczem, lamentem, a niektóre jeno tępem, kamiennem, ale zaciętem milczeniem żegnały swego nauczyciela; co które mogło, dawało mu na drogę.

A Janek uśmiechał się tylko łagodnie, niby ten młodziutki Święty Jan na obrazku, i żegnał swoich kolegów z pasionki, a potem uczniów, i coś tam szepnąć zdołał jednemu z nich, od czego tamtemu pokraśniała twarz, a oczy zapłonęły wielkim blaskiem.

Strażniki nie broniły tych pożegnań, ale w końcu czas odjazdu nadszedł, a Janek, przejeżdżając przez wieś, cały czas czapki na głowę nie kładł, jeno żegnał te rzędy chat, dobrze sobie znajomych.

Uwięzienie małoletniego syna zamożnego we wsi gospodarza poruszyło ludzi; zakrzątnięto się, aby chłopczynę wobec władz oczyścić z czynionego mu zarzutu tajnego nauczania; sprawa się wlokła, bo sam Janek ją utrudniał prostolinijną swoją postawą młodego, pełnego zapału oświatowca. Po długich, blisko rok trwających staraniach wypuszczono go z więzienia. Nietylko dzieci, ale i starsi mieli tego dnia jakby święto, choć był to zwykły dzień powszedni i pilne kopanie ziemniaków w polu.

Ale ludziom nie praca była w głowie, lecz godne powitanie małego męczennika za dobrą sprawę.

Byli ogromnie ciekawi, jaki on też wrócił, wiadomo, więzienie nie wszystkim jednakowo słu-

ży: jednego psuje, a drugiego naprawia, a dobrego czasem jeszcze lepszym czyni. Tego wszystkiego byli ludziska ciekawi, jak się dowiedzieli o powrocie Janka.

Szli więc tłumnie odwiedzić chatę jego rodziców i cieszyć się pocziwie, po sąsiedzku ich radością.

A było się czego cieszyć. Janek wrócił z więzienia bledziutki, niczem płótno, wybielone na letnim słońcu, ale taki poważny, stateczny, że najmądrzejsi ludzie z wielką przyjemnością długie rozmowy wieść z nim mogli.

Więzienie stało się dla niego „chłopskim uniwersytetem“, a teraz po powrocie zaczął zdawać egzamin swej dojrzałości. Porobił znajomości z różnymi ludźmi, od których dużo się nauczył, i jak tylko jesienne wieczory nastały, zaczął robić to, co najwięcej lubił, zaczął znów uczyć drugich, z tą różnicą jeno, że teraz czynił to umiejętnie, otaczał się tajemnicą, i nie tylko dzieci, ale i siwowłosych gospodarzy w późne wieczory nauczał.

Takie to tajemnicze opowieści półszepcem w kole zaufanych dotąd opowiadane, a nie przechodzące poza pewien obręb danej miejscowości, uważamy za stosowne przypomnieć czytelnikowi polskiemu w chwili, gdy szkolnictwo narodowe, dławione brutalną przemocą zaborczego rządu, wchodzi na tory normalnego rozwoju.

Biblioteka
U.M.C.S.
w Lublinie

Geprüft und freigegeben durch die Kals. Deutsche Presseabteilung
Warschau, den 20-ten VI. 1916. T. № 1556. Dr. № 40.

„Biblioteką Nowości” Towarzystwa „Czytaj!” ukazywać się będzie w przeddzień świąt, roznoszona przez specjalnych delegatów.

Ceny broszurek są stałe i każdorazowo wymieniane na tytułowej stronicy.

Naddatki przyjmowane nie będą, a dawane być nie powinny. Kto ma grosze zbywające, niech za nie nabędzie książeczki i rozda biedniejszym.

Broszury **Biblioteki Nowości** Towarzystwa „Czytaj!” sprzedawane będą przez delegatów li tylko dzień jeden. Pozostałość ze sprzedaży będzie do nabycia wyłącznie w oddziałach firmowych Towarzystwa „Czytaj!”

Poza prowincjonalnemi, Towarzystwo „Czytaj!” posiada w Warszawie następujące oddziały:

- 1) W Halach Mirowskich (za Żelazną Bramą),
- 2) Na stałym Jarmarku Rzemieślników Chrześcian (Ś-to Krzyska № 43),
- 3) Na targu Ordynackim,
- 4) Na Ochocie—Grójecka, róg Królewskiej.

Redakcja „Dziesięciogroszowej Biblioteki Nowości” mieści się w biurze głównem Towarzystwa „Czytaj!” przy ul. Brackiej № 7. Kierownik: Dr. Wł. Rogowski. Komitet Redakcyjny: Bruno Dymowski, D-wa Irena Kosmowska, Władysław Umiński.

W. 6. 08



Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 12035

„CZYTAJ

tucją oświatow
Członkowie Tow
juszami. Człon
przynajmniej je
siadanych udziałów jest n

Towarzystwo „C
pożyteczne książki i w t
oświatowego. Czynności
znawcza, złożona z kilku
pracy oświatowej.

Towarzystwo
pełnia księgozbió
nych, Związków
Spółek i wszelkie
prywatnych, tak
za gotówkę i na spłaty, czyniąc największe
godnienia.

W zakresie bibliotekarstwa, Towarzystwo „CZY-
TAJ“ udziela bezpłatnie wszelkich infor-
macji.

Towarzystwo „CZYTAJ“, przy pomocy
sił miejscowych, tworzy i prowadzi oddziały fir-
mowe.

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki

